

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 60 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 84 halerzy, za wiersz jednoszpaltowy nonparellowy 1·20 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XVI. Kraków, 25 stycznia 1919. Nr. 4.

Walki w Poznańskiem.



1) Widok miasta Leszna, o które toczyły się walki. 2) Bydgoszcz, o który obecnie toczą się walki 3) Miejscowość Zbąszyn, zdobyta przez Polaków, węzłowy punkt kolei Poznań-Berlin. 4) Widok twierdzy Torunia.

Walki w Poznańskiem.

Dzielnica poznańska oficyalnie zgłosiła już złączenie się z całą Polską. Do nowego gabinetu weszli przedstawiciele Poznańskiego, a Rada Narodowa utworzona tam podjęła energiczną akcyę celem administracyjnego i wojskowego zorganizowania tej części Polski.

Niemcy nie łatwo pogodzą się z utratą tak wielkiej połaci kraju. To też obecnie Poznańskie stoi w otwartej wojnie z Niemcami, wojnie, która podobnie jak walki o Lwów, utworzyła nowy front bojowy na zachodzie.

Organizacyę wojska w Poznańskiem objął generał Dowbor Muśnicki, a armia ochotnicza, jaka tam się organizuje, liczy już około 200 000 ludzi. Kraj dał na cele wojska nowemu gabinetowi 70 milionów marek.

W ten sposób nareszcie spełnia się wielkie historyczne marzenie o zjednoczeniu wszystkich ziem polskich. Bronić ich granic musimy jeszcze przed zaborczością wrogów, ale czujemy, że organizm narodowy się zrasta, że powstaje jedno wielkie państwo polskie, które wreszcie zapewni Polsce należne stanowisko w świecie.

Podajemy szereg illustracyi z Poznania i okolicy.



Walki w Poznańskiem: Ogólny widok Zabrza (Lip. b. pras.)

Śląsk Cieszyński dla Polski.

Dzisiaj, kiedy tyle mówi i pisze się o Śląsku Cieszyńskim, warto rzucić okiem wstecz, by zrozumieć obecne położenie wojskowe i polityczne w tym kraju.



Walki w Poznańskiem: Ulica w Poznaniu (Lip. b. pras.)

Życie narodowe polskie podczas wojny, mimo ucisku austryackiego, biło żywem tętnem, a sympatye i prasy i ludu polskiego były stanowczo po stronie koalicyi. Niemcy cieszyńscy i naczelna komenda austryacka, która osiadła w Cieszynie, uważali Polaków śląskich zawsze za niepewnych.

Kiedy państwa centralne zaczęły się wyraźnie chylić do upadku, gorączkowy ruch narodowy polski ogarnął Śląsk cały. Każdy odczuwał, że nadszedł czas, by po 600 letnim odcięciu połączyć Śląsk z Macierzą Polską.

W celu zadokumentowania woli ludu polskiego śląskiego, zwołali posłowie polscy wielki wiec do Cieszyna na dzień 27 października 1918 r. Mimo deszczu i zimna zebrało się przeszło 40 tysięcy Ślązaków na rynku cieszyńskim i tu nastąpiło uroczyste ogłoszenie powołania do życia „Rady Narodowej“, jako najwyższej władzy politycznej dla Śląska Cieszyńskiego; lud zażądał stanowczo przyłączenia Śląska do Polski. Wiec ten był przygotowaniem tego, co w dalszym ciągu nastąpić musiało.

30 października zwołała Rada Narodowa wójtów okolicznych i odebrała od nich ślubowanie.

Opanowanie garnizonu wojskowego w Cieszynie przez Polaków w dniu 31 października 1918 oddało władzę polityczną i wojskową zupełnie w ręce Rady Narodowej.

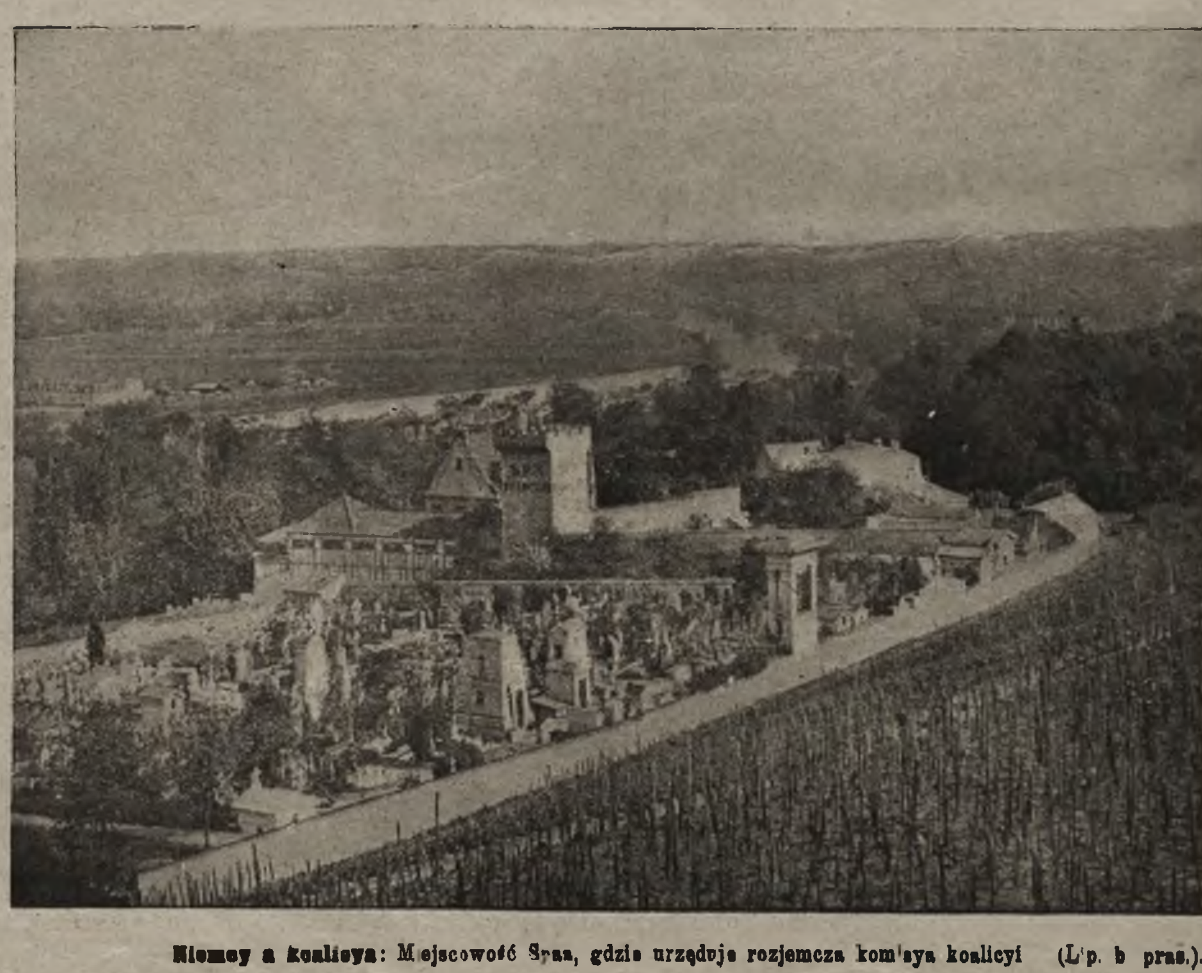
Do opanowania Cieszyna przygotowywali się oficerowie i Polacy i Czesi i Niemcy, każdy naturalnie na rzecz swej narodowości.

Oficerowie Polacy już przedtem stworzyli swoją własną organizacyę i odbywali zgromadzenia, aby wypadki nadchodzące nie zastały ich nieprzygotowanych.

W sam dzień przewrotu odbył ścisły komitet, złożony z trzech oficerów Polaków, poruczników: Matusiaka, Barteczka i Skrzypka, posiedzenie z delegatami najpierw czeskimi, potem niemieckimi; wieczór walne zgromadzenie podoficerów polskich a następnie oficerów Polaków. Niemcy bowiem pragnęli na drugi dzień opanować garnizon zupełnie dla siebie; Czesi też nie spali. Najmniej ze swemi intencyami zdradzali się Polacy. Wieczór 31 października zastał telegram z Krakowa oficerów prawie już przygotowanych. Zaraz też po odpowiedniej krótkiej instrukcyi ruszyli pod komendą por. Matusiaka szybko ku koszarom. Zaalarmowane po cichu trzy kompanie wnet nadeszły na plac zborny. Tutaj w gorącej przemowie przedstawiono im krzywdę przez wojnę wyrządzoną, a skutek był ten, że nawet Niemcy oświadczyli: „Wir halten mit“.

Po krótkiem zaprzysiężeniu ruszyły kompanie ku najsilniejszemu i większą połowę Niemców liczącemu oddziałowi, t. zw. komp. malarycznej.

Tu przedtem nadbiegł sam pułkownik Gernt, lecz na jego krzyk: „alarm“ zjawili się przed nim dwaj oficerowie, Polak i Czech i oświadczyli, że kompania stoi w pogotowiu, ale jest na rozkazy por. Matusiaka. Wkrótce też cała załoga cieszyńska tworzyła jednolity front. Po długim oporze widział się pułkownik zmuszony przelać całą władzę na ręce nowego komendanta. Zaraz też już przedtem naznaczone oddziały obsadziły pocztę, policyę i dwie stacye kolejowe. Mimo ulewnego deszczu pełnili żołnierze służbę całą noc gorliwie, a wszystko od-



Niemcy a koalicya: Miejscowość Spaa, gdzie urzęduje rozjemcza komisya koalicyi (Lip. b. pras.).

było się tak szybko i z takim spokojem, że blizko połowa oficerów dopiero na drugi dzień się dowie działa o przewrocie.

Na rozkaz nowego komendanta wyjechał osobny pociąg do Skoczowa. Tu zaskoczona załoga poddała się bez żadnego oporu i rano wrócił pociąg wiozący ze sobą karabiny maszynowe.



Śląsk Cieszyński dla Polski: Por Klemens Matusiak, pod którego komendą opanowano załogi wojskowe w Cieszynie i Skoczowie

Na trzeci dzień odesłano osobnym pociągiem żołnierzy Niemców na zachód; za nimi powoli rozjechali się oficerowie niemieccy. Po dziesięciodniowym pobycie odkomenderowano i Czechów. Tak więc załoga cieszyńska pozostała czysto polska.

Po sześciu dniach przejął komendę generał Aleksadrowicz.

Żołnierza starszego uwolniono, na jego miejsce napływa ochoczo śląski rekrut, tembardziej, że otrzymuje dobry wikt i dodatek do żołdu 4 korony.

Załoga cieszyńska jest rozłożona na całem Cieszyńskiem, od Bogumina po Jabłonków i Bielsko. Na wsiach utworzono uzbrojone w karabiny milicye, które dosięgły liczbę 5000 ludzi.

Spokój i porządek na Śląsku zupełny, że aż z dala przybyli się dziwią. Do zawdzięczenia to jest w pierwszym rzędzie sprawności wojska, ale też i zrozumieniu obowiązku i ważności chwili u ludności, szczególnie u górników i hutników, liczących tu około 120 000 ludzi.



Śląsk Cieszyński dla Polski Zgromadzające się 40 tysięczne tłumy ludności polskiej śląskiej na rynku cieszyńskim na wiec w dniu 27 października 1918 r.

Rozpoczęcie konferencyi pokojowej.

Jak donoszą pisma, rozpoczęły się już w Paryżu pierwsze, wstępne posiedzenia konferencyi pokojowej. Przygotowaniem do niej było zebranie naczelnej rady wojennej koalicyi. Zebrała się ona w niedzielę po południu w paryskiem ministerstwie spraw zagranicznych. Posiedzenie to trwało od godziny drugiej do piątej po południu. Francyę reprezentowali Clemenceau, Pichon, Clementel i trzech innych polityków. Anglię: Lloyd George i Balfour. Stany





Śląsk Cieszyński dla Polski:

Dom Narodowy w Cieszynie, przystrojony w czasie wiecu

Widok Zamku cieszyńskiego z wieżą Piastowską w chwili składania hołdu Radzie Narodowej przez milicye śląskie w dniu 24 listopada 1918 r.



Rozpoczęcie konferencyi pokojowej: Delegaci francuscy na konferencyę:
Min Pichon — Leon Burgeois — Marszałek Foch

Zjednoczone: Wilson i Lansing. Włochy: Orlando i Sonnino. Obecny był również marszałek Foch. Rada naczelna zastanawiała się nad przedłużeniem rozejmu i nad nowymi warunkami które mają być przedstawione przez Focha delegatom niemieckim. Następna konferencya sprzymierzonych składać się już będzie tylko z prezesów ministrów i ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw. Przystąpi ona do badania metod i procederu przedwstępnych rokowań pokojowych.

Paryż szykuje się na przyjęcie gości, odkąd zapadło postanowienie, że konferencya toczyć się będzie w jego murach, a nie w Wersalu, gdzie dokona się jedynie uroczyste podpisanie traktatu pokojowego w tej samej Sali Zwierciadlanej, w której w roku 1871 podpisała Francya pokój Bismarka i Moltkego z Niemcami. Wersal zresztą jest mieściną zbyt szczupłą, by mógł pomieścić godnie i wygodnie te setki delegatów, te tysiące doradców technicznych i dziennikarzy, których ściągają ze sobą prace kongresowe.



Walka z bolszewizmem w Niemczech: Przywódca bolszewików Liebknecht, zabity w Berlinie.

W Paryżu jest o wiele przestronniej, choć i tam robi się ciasno. Poszczególne misye zajęły dla siebie całe hotele, liczące po kilkaset pokoi mieszkalnych, prócz wielkich i wspaniale urządzonych salonów. Anglicy ulokowali się w czterech pierwszorzędnych hotelach: Majestic, Astoria, Alba i Baltimore; Amerykanie zajęli hotel Grilhon, Belgowie hotel Lotti. Japończycy Bristol, Grecy Mercedes, Czechosłowacy i Chińczycy mieszczą się w Lutecyi, Serbowie i Portugalczycy w hotelu Campbell, Włosi w hotelu Edward VII. O wysokości cen dzierżawnych daje pewne wyobrażenie kwota 15.000 franków dziennie, opłacana przez Anglików za hotel Majestic. Dla reprezentantów prasy sprzymierzonej i neutralnej przeznaczyło ministerstwo spraw zagranicznych pałac słynnego fabrykanta likierów, Dufayela, położony na avenue des Champs Elysées, a stojący pustką od śmierci właściciela. Lecz wprzód usunięto z pałacu kosztowniejsze meble zmarłego nababa, a szczególniej głośny w całym Paryżu serwis szczerozłoty arcykunsztownej roboty. Dziennikarze angielscy zdołali już w zupełności zorganizować podstawy swej pracy. Mają specyalne linie telegraficzne i telefoniczne, a nawet regularną służbę lotniczą dla najszybszego przesyłania wiadomości.

Największy kłopot stanowi zagadnienie, jak zorganizować obrady kongresu ze względu na niezwykłą liczebność delegatów i ich współpracowników. Anglia wraz z dominiami wystawi zastęp liczący 500 ludzi, Stany Zjednoczone mają sztab złożony z 350 osób, Włochy wysyłają 300 mężów, 200 Belgia, 150 Grecya, 100 Japonia, 80 Jugosławia, tyleż Czechy, 50 Portugala, 50 Chiny, 50 Syam. A dotąd jeszcze ani Polska, ani Rumunia, ani Brazylia, ani inne wreszcie państwa nie zgłosiły liczby swych wysłańców. Niema w Paryżu sali, mogącej pomieścić naraz tak liczne zgromadzenie. To też w praktyce na posiedzeniach plenarnych weźmie udział najwyżej 160 osób wraz z właściwymi delegatami kongresowymi. Zgromadzać się będą w ministerstwie spraw zagranicznych w słynnej sali zegarowej. Około historycznego stołu, ustawionego w podkowę, zasiąść może 130 osób. Stół ten da się przedłużyć do sali przyległej, gdzie odbywają się bankiety na cześć głów koronowanych, przez co przybędzie jeszcze 40 miejsc.



Śląsk Cieszyński dla Polski: Pochód zgromadzonych milicyi wiejskich śląskich pod komendą por. Szczurka na Zamek Piastowski (dotychczas arcyksiążęcy) celem złożenia hołdu Radzie Narodowej.



Niemcy a koalicya: Prezydent Poincare witany owacyjnie w Strassburgu przez Alzatczyków.

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostataich.

26

— Pan nawet pewnie nie wie, panie Kazimierzu... pan sobie nie przypomina, ile to lat ja już pana znam z widzenia. Ja byłam jeszcze taką młodziutką dziewczyną, a pan akademikiem... A może pan pamięta, co?

— Może... może... tak mi się coś zdaje, ale doprawdy że...

Stefa roześmiała się wesoło. Nie miała do niego żalu o to, że nie pamiętał.

— Rozumie się, gdzieby tam pan miał pamiętać... Ja... ja to co innego... Pan zachodził nieraz do naszej masarni po wędlinę... ja już zawsze tak robiłam, żebym to ja pana mogła obsłużyć... I wędlina była najładniejsza... i waga dobra... bardzo dobra...

Uśmiechała się błogo, przejęta szczęściem i dumą. Życie zbliżyło ją do tego cudnego panicza, o którym śniła tajemnie już wtedy, gdy własnoręcznie za ladą masarni ojca krajała głowizny, kiełbasy i salcesony, patrzyła na niego jak na świetlane zjawisko z innego, wyższego, niedostępnego dla takiej Burczykiewiczówny świata.

Rawiczowi to odgrzebywanie wspomnień, zalatujących zapachem wędliny, nie było snać miłem, bo skrzywił się wyraźnie.

Tymczasem jednak Stefka niespostrzegła jego niezadowolenia i byłaby brnęła dalej, gdyby jej nie przerwał lokaj, który oznajmił, że podano do stołu.

— Nareszcie! — odetchnął Rawicz i poszedł za Stefką do jadalnego pokoju.

Przy stole prezydowała wystrojona Burczykiewiczowa ze swoją wiecznie zakłopotaną miną. Ukradkowe spojrzenia rzucała na krzątającego się bezszelestnie lokaja, a we wzroku jej duma mieszała się z żalem.

Pięknie to jest mieć takiego lokaja, co wygląda sam jakby jaki hrabia, ale żeby znowu tyle takiemu drabowi płacić.

Potem oczy jej utonęły w śnieżnej bieli obrusa i „wojenna" milionerka westchnęła cicho. Co dzień świeży obrus!... Co to za zbytki teraz, kiedy mydło takie drogie!

Rawicz musnął ustami rękę pani domu i zajął obok niej miejsce. Stefa usadowiła się naprzeciw, bo w ten sposób mogła bez przeszkody wpatrywać się w Kazimierza i obserwować wszystkie jego ruchy.

Młodsze pokolenie Burczykiewiczów, wymustrowane przez Stefkę i ojca, na widok gościa robiło układne miny.

Na gospodarza czekano jeszcze chwilkę. Ukazał się wreszcie w towarzystwie mężczyzny średniego wzrostu, którego cała postać tchnęła typową elegancyą wiedeńskiego kupczyka.

— Pan doktór Rawicz, bardzo uczony profesor — przedstawiał Burczykiewicz — pan Maks Metzger, przedstawiciel wielkiej ajencyi handlowej z Wiednia.

Żółtawe, lekko zaczerwienione, przebiegłe oczy Wiedeńczyka ogarnęły w jednej chwili Rawicza od głowy do stóp. Przedstawiciel wielkiej ajencyi handlowej uśmiechnął się nader uprzejmie i wyciągnął małą, chudą rękę, na której błyszczało kilka pierścionków.

— Sehr angenehm, Herr Doctor.

Rawicz zaledwie końcami palców dotknął dłoni nowego znajomego. Pan Maks Metzger nie podobał mu się od pierwszego wejrzenia.

— Herr Doctor kennen Wien? — zapytał wiedeński handlowiec, przełknąwszy kilka łyżek doskonałej zupy.

— Owszem, znam Wiedeń! — odparł Rawicz po polsku.

— O! o! — zdziwił się Burczykiewicz — To pan taki uczony, a pan nie umie po niemiecku?!

— Po niemiecku umiem, ale przypuszczam, że ten pan rozumie po polsku. My Polacy, jak jedziemy do Wiednia, to staramy się tam mówić po niemiecku... Dlaczegóżby to samo nie miało obowiązywać i Wiedeńczyków.

Wiedeńczyk rzucił ukośne spojrzenie na Rawicza i nie rzekł nic. Natomiast Burczykiewicz kręcił głową i dziwił się coraz mocniej:

— Tego to ja, panie, nie rozumiem... Żeby po niemiecku umieć, a nie gadać... Przecie niemiecki to grunt wszystkiego kształcenia... Po niemiecku to do ministra i do cesarza... Bez niemieckiego urzędnikiem nie zostaniesz, na kolej cię nie przyjmą..

— Ależ tato, przecież pan Kazimierz wie lepiej, co i jak... — wtrąciła pospiesznie Stefa, widząc, że na czole Rawicza tworzy się głęboka fałdka.

Burczykiewicz nie pozwolił zbić się z tropu i ciągnął dalej:

— Ja właśnie chcę sprowadzić do dzieciaków Niemkę z samego Widnia... Niechby się wyedukowały w niemieckim.

— To się wie! — zaaprobowała projekt męża Burczykiewiczowa.

Kąty ust Rawicza ściągnęły się w dół pogardliwą ironią. Nie odezwał się wszakże, nie próbował przekonywać Burczykiewiczów. Wyraz jego twarzy aż nadto odzwierciadlał myśl: Co ja z wami będę gadał?!

Pojęcia Stefy o znaczeniu języka niemieckiego i jego stosunku do polskiego społeczeństwa były nader mętne. Nie miała ona w tym kierunku żadnego zdania, ale gotowa była przyjąć z góry, że słuszność ma zawsze „pan Kazimierz".

A że czuła i widziała, iż to, co mówi ojciec, bardzo nie podoba się jej pięknemu młodzieńcowi, więc ogarnął ją gniew na własną rodzinę... Jak oni mogą sprzeczać się z nim, z takim mądrym, uczonym, chyba najmądrzejszym, najuczeńszym na całym świecie!

Skwapliwie nałożyła Rawiczowi na talerz ogromną porcyę doskonałej potrawy z móżdżków cielęcych.

— Proszę, niech pan je... Tak przyrządzone jak pan lubił — zachęcała, usiłując mu spojrzeć w oczy — Z pieprzem i z cebulką przysmażona... Sama dopilnowałam.

Rawicz jadł, jadł nawet z apetytem, ale nie rozchmurzał się, oczu od swego talerza nie podnosił i w rozmowie żadnego już prawie nie brał udziału.

Kobiety i dzieci milczały także. Jedynie gospodarz domu i jego wiedeński gość rozprawiali żywo o interesach. Przypuszczenie Kazimierza, że pan Maks Metzger rozumie po polsku, okazało się słusznem. Nie tylko bowiem rozumiał, ale i mówił zupełnie płynnie, z charakterystycznym wschodnio-galicyjskim akcentem.

— Pewnie ten wiedeński ajent pochodzi z Kołomyi albo z Buczacza... — pomyślał Rawicz, rzucił niechętne spojrzenie na Metzgera i... zatopił nóż w białej. kruchej piersi indyka.

— Czy pan się gniewa, panie Kazimierzu? — zapytała cicho Stefa, pochylając się ku niemu.

Głos dziewczyny miał tony słodkie i pokorne.

— Ale skądże znowu... Nie gniewam się wcale! — odrzucił trochę niecierpliwie.

Uśmiechnął się jednak. Poczucie bezwzględnego panowania nad tą duszyczką kobiecą sprawiło mu przyjemność. Zwłaszcza, że .. przypomniał sobie znowu tabliczkę mnożenia. Uśmiechnął się raz jeszcze i przeszył Stefę jednem ze swoich przejmujących, zabójczych spojrzeń wytrawnego zjadacza serc niewieścich.

Dziewczyna pokraśniała mocniej. Twarz jej rozsłoneczniła się szczęściem.

Ale uśmiech prędko zniknął z warg Kazimierza. Z pochyloną głową, przymrużonemi oczyma, z chmurą na czole jadł i słuchał rozmowy Burczykiewicza z Metzgerem. Słowa ich brzęczały mu koło uszu, jak natrętne, kąśliwe muchy.

Ci dwaj, uważając go widocznie za kompletnie „swojego", nie krępowali się wcale i otwarcie omawiali wywóz ogromnych ilości wędlin, słoniny i innych towarów spożywczych do Wiednia.

Kłócili się przytem trochę. Burczykiewicz żądał bardzo wysokich cen, podnosząc swoje ryzyko. Metzger targował się, ale ostatecznie ustępował.

— I jeszcze pięćset kilo wieprzowej kiełbasy — zapisywał w swoim notesie ajent.

— A jak złapią — ozwał się z lekkiem wahaniem w głosie Burczykiewicz.

— Co za gadanie! nie złapią. Czy to pierwszy raz?

— Podobno pilnują teraz więcej...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się ajent. — Pan jesteś sobie dobry! Pilnują! ale tych, co wywożą w paczkach i torebkach, ale nie tych. co wywożą wagonami. Kto teraz z Galicyi nie wywozi?! Kto nie robi interesów?! Chyba taki, co już całkiem nie może.

— A pewnie. Chyba głupi nie zbijałby majątku, jak jest okazya. Taka wojna to raz jest. I już trzy lata trwa.

— A niech sobie trwa... my jej nie przeszkadzamy — śmiał się znowu Metzger.

— Tato, kiedy na wojnie tyle ludzi ginie — odezwała się nagle Stefa.

— To i cóż? jedni gniją, drudzy żyją — oświadczył z naiwnym cynizmem Burczykiewicz — a czy nam to źle przez to wojnę?

Z dumą potoczył oczyma po swojej z przepychem urządzonej sali jadalnej, spojrzał na swoje wystrojone dzieci i żonę i ze smakiem zabrał się do leguminy, którą mu właśnie podał jego elegancki lokaj.

Kazimierz Rawicz podniósł z nad talerza głowę. Już nietylko między brwiami miał zmarszczkę, ale całe piękne czoło sfałdowane potężnie.

Stefa przestała jeść z przerażenia.

— Poco oni przy nim gadają o takich ordynarnych interesach?! Dla niego toby trzeba prowadzić jakąś „substelniejszą" rozmowę!

— Proszę taty — zaczęła pojednawczo, ale Rawicz przerwał jej pytaniem, które brzmiało sucho i ostro:

— Czy państwo nikogo nie macie na froncie?!

Burczykiewiczowa jakoś żałośnie pociągnęła, jakby się jej nagle na płacz zebrało.

— A jest tam brat żony na włoskim froncie, kto wie, czy żyje jeszcze biedaczysko — mruknął Burczykiewicz.

— A czy ten pański szwagier ma żonę i dzieci?

— A jakże. Czworo dzieci.

— Prawdopodobnie więc ta jego rodzina także chciała czasem skosztować słoniny lub kiełbasy wieprzowej. A tymczasem, jeśli wszystko pójdzie do Wiednia... — zakończył ze spokojną ironią Rawicz.

— No, dla swoich najbliższych zawsze coś zostanie. A interes interesem.

— A my dobrze, bardzo dobrze płacimy — odezwał się Metzger.

Widocznie jednak słowa Rawicza poruszyły jakąś lepszą strunę w duszy spekulanta masarza, bo przez długą chwilę szarpał w namyśle swoje twarde wąsy, a potem rzekł:

— To, możeby te Wiedeniaki miały dość i połowę. Cośby ta człowiek i tutejszym sprzedał, niechby już z mniejszym zarobkiem.

Ajent zachmurzył się.

— To nie jest po kupiecku, panie Burczykiewicz. Albo robimy interes cały, albo nie robimy. Jak pan nie chce, to nam to załatwi kto inny.

— Aha! pewnie ten parch Goldbaum! Te żydy to...

Metzger skrzywił się niechętnie i schował notes do kieszeni.

— Wszystko jedno kto. Niech się pan decyduje. Interes zrobiony czy nie?

— Zrobiony! — zgodził się Burczykiewicz, pokonany stanowczością ajenta.

— No, to dobrze. To my jeszcze o czemś innem pogadamy. Pan na tem zarobi gruby pieniądz.

— Metzger przysunął się z krzesłem bliżej do Burczykiewicza i jął mówić mu coś przyciszonym głosem. Na Rawicza spoglądał niekiedy z ukosa. Widocznie nie dowierzał mu już.

Kazimierz zasłyszał z tej rozmowy tylko oderwane słowa: „deklarować jako szkło... Oświęcim... niemiecka komenda... dwieście wagonów"... Miał ochotę zakląć, zerwać się, cisnąć kosztownym talerzem o ziemię i uciec z tego gniazda drapieżnych kruków, szarpiących w pogoni za milionami, skręcone z głodu wnętrzności ofiar wojny. Ale nie zaklął, nie zerwał się, nie rozbił talerza, nie uciekł.

Siedział przy stole i z wściekłą pasyą zajadał przepyszny tort czekoladowy. W głowie szumiały mu ostrzegające słowa Wacławy, a ten „drugi" ukryty głęboko gdzieś na dnie duszy drwił! Drwił bezlitośnie...

VII.

Samotne dusze.

Panna Julia Ożarska zaczerwieniona z mrozu, z niewielką teczką, pełną zeszytów i książek pod pachą, weszła do lokalu „Kuchni obywatelskiej".

Od godziny ósmej rano biegała z lekcyi na lekcyę, przeziębła do szpiku kości w swojej lichej szubce, podbitej jakiemś nędznem, mocno wytartem futerkiem i wygłodniała straszliwie,

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lwów pod ogniem dział.

Od szeregu dni armaty ukraińskie biją we Lwów, sprawiając wielkie spustoszenie. Pociski, rzucane zupełnie bezmyślnie, powodują liczne wypadki śmierci wśród osób cywilnych i burzą domy. Jeden z pocisków zabił Helenę Zaleską, wdowę po ministrze Galicyi i zranił ciężko jej syna śpiącego w przyległym pokoju Zabici również zostali krawiec Jan Mięsowicz, żona jego Józefa i siostra żony Justyna Nowakowska; ponadto śmierć ponieśli pewien mężczyzna i jakaś kobieta, których nazwisk dotąd nie stwierdzono.

Dzienniki tak opisują obraz Lwowa podczas ostrzeliwania:

Na jednej z głównych arteryi miasta granat eksplodując, trafił odłamkiem w przechodzącego tamtędy woźnego którejś instytucyi miejskiej; ugodzony śmiertelnie, padł na miejscu. Straszny był widok nieszczęsnej ofiary: niedomknięte oczy trupa, wzniesione w górę, wzywały jakby pomsty niebios, nastawykrzywione bólem, twarz cała krwią obryzgana, odzienie poszarpane; w koło olbrzymia kałuża krwi. Obok biedaka leżała jakaś książka z papierami, niesionemi widocznie z instytucyi i dwa bochenki chleba, które z trudem zdobył może dla czekającej w domu zgłodniałej rodziny. Zaprawdę łzy serdeczne cisnęły się do oczu przechodniów na widok tej niewinnej ofiary barbarzyństwa. W innem znów miejscu przechodzącego ulicą staruszka odłamek granatu trafił w nogę; napół omdlałego wsadzono do karetki i odwieziono do domu. Gdzieindziej wpadł szrapnel do mieszkania, pozbawiając życia dwie dziewczynki.

W całym szeregu domów prywatnych i gmachów publicznych potrzaskane zostały doszczętnie szyby, gdzieniegdzie eksplodujące pociski wywołały pożar. O południowej porze karetki Pogotowia ratunkowego i straży pożarnej energicznie uwijały się po mieście, które przez chwilę przykrym nastrojem przypominało tak boleśnie tkwiące nam w pamięci dni inwazyi ukraińskiej.

Bywają jednak i cudowne ocalenia. Pisma podają szeregi opisów takich faktów. Przytaczamy kilka: Do izby wlatuje granat, przebiwszy okno i wpada na łóżko, w którem pod pierzyną spi staruszka. Przerażona łoskotem, zrywa się kobiecina i niemieje z przerażenia. Na pościeli leży duży stożkowaty przedmiot — niewystrzelony granat, który następnie usunęła wojskowość. W innem miejscu panienka wstaje z łóżka i przyczesuje przed żwierciadłem włosy. W tem ogłusza ją straszny grzmot, a równocześnie obsypują ją i pokój cały, niby płatki śniegu. To granat upadł na poduszkę, na której spoczywała przed chwilą główka panienki i prócz rozerwania pościeli, nie wyrządził żadnej szkody. To znowu rodzina siedzi w jadalni, w tem do salonu wpada granat z świstem straszny, niby „bąk" wiruje po podłodze, omotuje się w dywan i nie eksplodowawszy, leży tam dotychczas na pamiątkę cudownego ocalenia. W innej stronie miasta granat uderza w okno i wywala go wraz z ramami i futrynami. Wewnątrz salonu prócz zbitego cylindra u lampy, żadnej szkody.

Tak trwa Lwów, co dnia ponosząc nowe ofiary.





Lwów pod ogniem dział:

Pogrzeb trzech ofiar ukraińskich granatów rodziny Mięsowiczów. (Fot. M. Münz, Lwów)

Ukraiński granat w mieszkaniu dr Z. Brandweina przy ul. Ossolińskich gdzie została ciężko raniona służąca Marya Rura



Poświęcenie szkoły podchorążych w Łobzowie: Przemowa generała Gologórskiego (X) do podchorążych.

Poświęcenie szkoły podchorążych w Łobzowie.

Przewrót, jaki spowodowało nieudałe zakończenie wojny dla państw centralnych, przysporzył narodowi polskiemu wiele chwil radosnych i zaszczytnych. Jedną z takich chwil górnych było poświęcenie Szkoły podchorążych, które odbyło się w dniu 12 stycznia 1919 r.

Szkoła ta, po Wawelu jeden z najstarszych budynków Krakowa, była pałacem naszego króla Ka



Lwów pod ogniem dział: Ukraiński granat w mieszkaniu dr. Wańkowskiego przy ul Kościuszki 4
(Fot M. Münz)

zimierza Wielkiego, który tu w letnich miesiącach chętnie przebywał. Posiada on jeszcze dotychczas wiele śladów dawnej świetności i jest źródłem wielu podań o naszym wielkim królu „chłopków".

Szkołę tę odebrał 31 października 1918 w za-



Poświęcenie szkoły podchorążych w Łobzowie: Uczestnicy obchodu: 1) Dowódca gen. okręgu w Krakowie inż Gołogórski gen. dyw., 2 szef sekcyi w M S W. generał hr Latour, 3) szef depart szkolnictwa w M S W. generał Jan Jacyna, 4 dowódca okręgu krakowskiego Żygadłowicz gen bryg., 5) generał Sobolewski de Sobolow, 6) p dpułk Hławaty, komendant szkoły. 7) kapitan dr. Manowarda adjutant szkoły

rząd polski teraźniejszy komendant zakładu podpułkownik Stanisław Hlawaty, który po przełamaniu wielu trudności zreformował ją w duchu czysto polskim.

W ubiegłą niedzielę o godzinie 9 rano przybył do Łobzowa do szkoły główny komendant jenerał Gołogórski w otoczeniu jeneralicyi i wielu wyższych oficerów miasta Krakowa. Przy poświęceniu byli obecni także jenerałowie La Tour i Jacyna, którzy z ramienia polskiego Ministeryum wojny szkołę zwiedzili. Również zaszczyciła obchód ten swoją obecnością pani Piłsudska. Oprócz tego było wiele osób cywilnych.

Po przywitaniu władz i gości przez komendanta szkoły, odbyła się solenna Msza święta w pięknie przyozdobionej kaplicy szkolnej, odprawiona przez kapelana zakładu księdza Kucharskiego. Podczas Mszy św. odśpiewał chór zakładu kilka kolęd, a jeden z wychowanków wykonał artystycznie na skrzypcach Largo Hendla przy akompaniamencie pani Manowardowej.

Po ukończeniu Mszy św. i odśpiewaniu „Boże coś Polskę" odbyło się poświęcenie zakładu przy pomniku Kazimierza Wielkiego (dar obywatela tutejszego pana Karola Wołkowskiego) po którem do zgromadzonych na dziedzińcu w ordynku wojskowym wychowanków przemówił w podniosłym duchu patryotycznym ks. kapelan Kucharski.

Po otrzymaniu raportu od kompanii honorowej, przemówił generał Gołogórski, podnosząc ważność chwili i składając serdeczne życzenie, by te mury szkolne stały się i były po wieki przybytkiem rycerskiego ducha polskiego.

Na zakończenie uroczystości odbyła się defilada przed gośćmi i oficerskim korpusem, poczem goście zwiedzali szkołę.



Poświęcenie szkoły podchorążych w Łobzowie: Oddział uczniów szkoły podchorążych.

Fred, M, Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

18

— A więc ten młody urwisz należy do tej historyi?

— Oczywiście! Przekupiłem jednego ze służby księcia, który mi powiedział, że Denvers, przebrany za adjutanta, był z księciem na maskowym balu u pana. Ten chytry młodzieniec popsuł panu grę. On też dopomógł pani Bernsteinowej obrócić ostrze przeciw panu. Koncesya jest już tak, jak jego.

— Skąd pochodzą pieniądze jednak, potrzebne do wykupna klejnotu? O ile wiem, książę znajdował się w wielkich kłopotach pieniężnych.

— Nie wielka rzecz — wzruszył Arnott ramionami — Czy nie był pan wczoraj gościem pani Bernsteinowej? Kogóż pan tam widział? Mózg pański rzeczywiście osłabł, panie Frobisher. Czy pan się nie domyśla, poco tam był Pakford?

Frobisher uderzył się dłonią w czoło.

— Ach, nie pomyślałem o tem! Dziś sam pojechałbym najchętniej do Paryża, muszę jednak być przy sądowych oględzinach zwłok. Niech pan narazie o wszystkiem zamilczy, panie Arnott, ale wieczorem proszę pana, niech pan przyjdzie do mnie, to się naradzimy, co czynić dalej.

— A jak stoi sprawa z panną Lynn?

— Z tego powodu niech się pan wcale nie martwi. Nie zna ona jeszcze mojej woli — już ona się zgodzi. Dlaczego pan się upiera przy małżeństwie z dziewczyną, która pana nienawidzi. tego absolutnie nie rozumiem. Ale to już pańska rzecz. A więc do widzenia wieczorem!

Wpół godziny później pojechał Frobisher na plac Lennoxa, przekonany, że jego zeznanie będzie nic nie znaczącą formalnością. Ogród pełen już był ciekawych, gdyż dzienniki podały najnieprawdopodobniejsze historye o „tajemnicy orchidei“.

Frobisher wszedł do pokoju, gdzie zgromadzeni byli sędziowie i urzędnicy, śród których zauważył inspektora Townsenda. Ten ostatni, na zapytanie Frobishera, poco jego tu wezwano, odpowiedział wymijająco.

Po załatwieniu wstępnych formalności, poproszono Frobishera na ławę świadków i zaprzysiężono go. Miał on minę bardzo pewną siebie i spokojnie oczekiwał na przemówienie przewodniczącego.

— Chciałbym panu, panie Frobisher, zadać kilka pytań — zaczął przewodniczący. — Dowiedział się pan z pewnością z gazet, że nieznajomy, którego tu znaleziono bez życia, wedle przypuszczeń został uduszony twardą liną, którą mu zarzucono z tyłu na szyję.

— Czy pan jest tego pewnym? — przerwał mu Frobisher.

— Narazie będziemy obstawać przy tem twierdzeniu - brzmiała odpowiedź. — Według zeznań ogrodniczka znajdował się w cieplarni rzadki okaz orchidei, którą jakiś obcy pan dał tu do przechowania. Orchidea ta zniknęła po zamordowaniu nieznajomego. .

— To szczególne! — rzekł Frobisher z miną obojętną. - Mnie to jednak nic nie interesuje.

— Może jednak — zaprotestował sędzia. — Jesteśmy mianowicie zdania, że dwóch ludzi dążyło do posiadania tej rośliny: ów nieznajomy i jego morderca. Roślina musiała być bardzo cenną, jeśli dała powód do takiej zbrodni. Jeszcze bardziej zagadkową czyni sprawę ta okoliczność, że następnego wieczora popełniono takąsamą zbrodnię w pańskiej oranżeryi. Pan też posiada cenne orchidee, panie Frobisher?

Frobisher skinął głową. Nie czuł on się już tak pewnym, jak poprzednio, czuł bowiem, że pod tem prostem pytaniem kryje się pułapka. Mimo to odparł z dumą:

— Mogę się pochwalić, że posiadam najpiękniejszy zbiór orchidei w Londynie.

— Które amatora mogłyby nawet do zbrodni popchnąć? — wtrącił przewodniczący.

— Tak jest. Kogo opanował szał zbierania, tego on już nie opuszcza. Cenna orchidea, nawet jeśli skradziona, łatwo da się sprzedać.

— Panowie zbieracze zdają się mieć dość szerokie sumienie — zauważył ironicznie przewodniczący. A więc mielibyśmy niejako przypuszczalny motyw zbrodni. Zatrzymajmy się chwilę przy zdarzeniu w pańskiej oranżeryi, panie Frobisher. Co mogło skłonić pana Manfreda do udania się do cieplarni? Odszedł od stołu pod pozorem silnego bólu głowy. Przypuszczano, że spoczywa w jednym z pokoi, znaleziono go nieżywego śród pańskich kwiatów. Czy sądzi pan, że chodziło mu może o jeden z tych kwiatów?

— Być może — odparł sir Clemens.

— Czy domyślasz się pan, o który kwiat mu chodziło?

Frobisher drgnął lekko — widział się złapanym w pułapkę. Prokurator wiedział z pewnością więcej, aniżeli pokazywał po sobie, a pytania jego zdążały widocznie do wydobycia ze świadka zeznań.

— Mam kilka bardzo rzadkich okazów orchidei - rzekł Frobisher niepewnie.

Prokurator zmienił natychmiast temat. Widocznie nie chciał przed czasem zrazić świadka. Następne jednak pytanie zaniepokoiło Frobishera jeszcze bardziej.

— Spojrzmy na tę sprawę z innego punktu — zaczął prokurator powoli. — Mniej więcej wiemy zatem, że skradziono tutaj rzadki okaz orchidei. Powiedział mi pan przed chwilą, że amator tych roślin nie zawaha się przed kupnem nawet skradzionej orchidei. Czy i pan zrobiłby tosamo?

— W danych warunkach — tak.

— Hm — a teraz chciałbym pana o coś wręcz zapytać. Pan wie to równie dobrze, jak ja, o której godzinie nieznajomy został zamordowany. Czy od tej pory nabył pan nową, cenną orchideę?

Frobisher zmartwiał. Tego pytania się nie spodziewał. Jakby zasłona spadła mu z oczu; czuł przepaść pod nogami.

— Ja — kupiłem wprawdzie bardzo rzadki okaz tegosamego wieczora...

— Ach, bardzo rzadki egzemplarz — powtórzył prokurator. — To bardzo ciekawe. Czy kwiat ten ma jakąś szczególną nazwę?

- Tak, zowią go szkarłatną orchidea — rzekł z widoczną niechęcią zapytany. — Pochodzi ona z Kurdistanu.

— Tak jest. Szkarłatna orchidea została skradziona ze świątyni z Ghan, a wedle podań ludowych posiadać miała nadprzyrodzone siły. Zbrodniarze, skazani na zerwanie kwiatu tej rośliny, tracili przytem życie w takisam sposób, jak pan Manfred i ten nieznajomy. Przypuszczam, że pan wiedział o tem, nabywając orchideę.

— Historya ta znana jest wszystkim amatorom orchidei — odparł sprytnie Frobisher.

— Kupił ją pan zatem w godzinę, albo dwie, po dokonanem tutaj morderstwie?

Frobisher otarł krople potu z czoła.

— Tak jest — odpowiedział. — Tejsamej nocy mi ją ofiarowano i kupiłem ją.

— Za jaką cenę?

Chwilę zawahał się zapytany z odpowiedzią. Błyskawicznie przypomniał sobie, że nic nie zapłacił, tylko że przyrzekł Lopezowi w danym wypadku potwierdzić fałszywie jego alibi.

— Ile pan zapłacił za szkarłatną orchideę? — powtórzył przewodniczący.

— O, mało — jąkał się zakłopotany Frobisher — to jest, właściwie nie pieniądzmi. Człowiek, który mi ją ofiarował...

— Czy jest tutaj obecny? Niech się pan rozejrzy!

Frobisher rozglądnął się dokoła, ale Lopeza nie było.

— No — i bez niego się obejdzie — rzekł powoli prokurator. — Znał pan zatem historyę szkarłatnej orchidei i wiedział pan także, że w jej sile nie było nadprzyrodzonej władzy?

— W to wierzą tylko zabobonni mieszkańcy Kurdistanu — odparł Frobisher.

— Więc jakiś podstęp tu tkwi. Proszę, niech pan dobrze uważa na moje słowa, panie Frobisher. Wiedział pan o niebezpiecznej właściwości orchidei, wiedział pan, że pan Manfred wskutek tego właśnie stracił życie i że taksamo zginął ten nieznajomy. Temu pan nie przeczy?

— Czyż próbowałem?

— Tego nie twierdzę. Stwierdzam tylko, że pan o tem zamilczał, wiedząc, jak ważnem to jest dla władzy. Czemu pan tego, co pan wiedział, nie doniósł policyi? Czemu pan zamilczał o tem zarówno przed lekarzem, jak i przed przyjaciółmi?

Frobisher odpowiedział coś niezrozumiale. Czuł się nagle postarzałym o lata całe, niezdolnym do opanowania się, ani do utrzymania nerwów w porządku. Przypomniał sobie wyraźnie, że widział ludzi, zasiadających na ławie świadków z całą pewnością siebie, a opuszczających salę złamanych. Połowę majątku dałby w tej chwili, gdyby mógł dowiedzieć się, co i ile o nim wiedziano.

— Toby nie miało żadnego celu — odparł nareszcie na postawione mu zapytanie.

— Czy seryo pan myśli, że w to uwierzymy? — odpowiedział sarkastycznie prokurator. — Wobec faktu, że pan miał w ręku rozwiązanie zagadki? Kiedy pan kupił szkarłatną orchideę?

— W nocy popełnionej kradzieży.

— Czy znał pan człowieka, który panu orchideę sprzedał?

— Tak, znałem go od szeregu lat. Odwiedził mnie on także i poprzedzającej nocy.

— To coraz gorzej — szepnął prokurator do siebie, głośno zaś dodał — czy pan próbował kiedy przedtem sam, lub też z czyjąś pomocą dostać szkarłatną orchideę?

— O, tak — przyznał Frobisher otwarcie. — Plany moje nie udawały się jednak. Roślinę ktoś skradł i podzielił na trzy części. Jedna dostała się do Ameryki, druga do Stambułu, gdzie omal życiem nie przypłaciłem poszukiwań, trzecia zaś spaliła się w Turynie.

— Czy ówczesny spólnik pański nie nazywał się Lefroy? — badał prokurator. — Słyszałem, że pan dawniej dużo z nim miał wspólnych interesów, w ostatnich zaś latach stosunki te rozluźniły się. Zapewne jeden drugiemu nie dowierzał.

— Jesteśmy obaj ze zbyt ostrej stali — wtrącił Frobisher.

— Niedawno jednak obaj panowie byliście mocno zajęci uzyskaniem pewnej koncesyi od chana Kurdistanu. Chan zaś ze względów politycznych pragnął przyjść w posiadanie szkarłatnej orchidei. Czy byłby mu ją pan oddał w zamian za koncesyę?

— Tak jest. Miałem ten zamiar.

— Czy nie było więc niebezpiecznie zapraszać do siebie hrabiego i pokazywać mu orchidee?

— Dlaczego niebezpiecznie?

— Bo hrabia Lefroy miał zamiar wykraść orchideę. Zamiar ten próbował nawet wykonać z pomocą pana Manfreda, który to życiem przypłacił. Czy pan wie, jak się to stało?

— Nie, wiem tylko, że każdy, kto w pewnych warunkach zbliży się do orchidei, traci życie. Pytanie pana brzmi prawie tak, jak gdybym ja winien był nieszczęściu.

— Tak nie myślałem, tylko że pan mógł wyjaśnić kwestyę, gdyby pan był chciał. Poda nam pan przynajmniej nazwisko tego, który panu orchideę sprzedał.

— Nazywa się on Paweł Lopez, więcej nie wiem.

— A przecież pan tego człowieka zna dokładnie?

Frobisher zawahał się chwilę, czy ma zaprzeczyć, ale zdecydował się na otwartość.

— Znam go od dawna, byłem jednak całkiem zdumiony, kiedy mi przyniósł orchideę.

— Pańskie zeznania są nam narazie zupełnie wystarczające, panie Frobisher — rzekł przewodniczący — potem może jeszcze będziemy musieli pana raz jeszcze pofatygować. Zawołać Pawła Lopeza!

Townsend powstał.

— Nie można go odszukać — oznajmił. — Przypuszczamy, że uciekł do Paryża, wnet go jednak znajdziemy. Może pan odroczy rozprawę na parę dni — do czwartku?

Przewodniczący zgodził się na to i zamknął posiedzenie. Niespostrzeżony wyszedł także śród mnóstwa ciekawych Frobisher; był w usposobieniu zgnębionem i miał uczucie, jak gdyby mu się ziemia usuwała z pod nóg.

Przechodząc, zauważył panią Bernsteinową, która przy swoim powozie rozmawiała właśnie z Townsendem.

— Co pan zrobi, jak pan znajdzie tego Lopeza? — zapytała.

— Zaaresztuję go pod zarzutem popełnienia morderstwa.

— Którego wcale nie popełnił — zaprzeczyła pani Iza. — Ale wszystko jedno, może być i tak. Dziś wieczorem zatelefonuję do pana i będę oczekiwać niezwłocznie pańskiego przybycia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Walka z bolszewizmem w Niemczech.

Propaganda bolszewicka w Niemczech doznała wielkiej szczerby. Zginęło dwoje najgorętszych propagatorów tej idei w Niemczech — mianowicie Liebknecht i Róża Luksemburg. Ta ostatnia nie jest obca i Krakowowi, uczestniczyła bowiem w ostatnim kongresie socyalistycznych kobiet w Krakowie, występując z gorącą propagandą na rzecz idei przewrotowych.

Liebknecht należał do przywódców tak zwanych niezawisłych socyalistów, którzy od początku wojny zajęli stanowisko wybitnie pacyfistyczne i rozpoczęli na tem podłożu zaciętą walkę z socyalistami, obecnie w Niemczech rządzącymi. Liebknecht prowadził zaciętą propagandę pacyfistyczną, za co został postawiony przed sąd cesarstwa niemieckiego i skazany na sześć lat więzienia. Rewolucya otworzyła mu bramy więzienne. Zaraz po jej wybuchu wystąpił jako zdecydowany zwolennik programu bolszewickiego, a znalazł silne poparcie w osobie Róży Luksemburg i Ledeboura.

Kiedy utworzony został rząd socyalistyczny z Ebertem i Scheidemannem na czele, niezawiśli socyaliści rozpoczęli gwałtowną propagandę przeciw niemu. Opanowali oni najpierw centralną radę robotniczo żołnierską, następnie zaś podjęli usiłowania celem opanowania władzy.

Liebknecht i Róża Luksemburg pozyskawszy dla swych idei robotników kilku wielkich fabryk na przedmieściach Berlina, postanowili opanować władzę za pomocą zamachu stanu i korzystając z chwiejnego stanowiska rządu. opanowali zbrojnie niektóre publiczne gmachy, biuro Wolffa i redakcye wielkich dzienników, między nimi także „Vorwärtsu". Wtedy dopiero rząd zdecydował się na krok stanowczy i sprowadził do stolicy silne oddziały wojska pod wodzą zawodowych oficerów. Przyszło do zaciętych walk na ulicach Berlina, z użyciem artyleryi, karabinów maszynowych, miotaczy min. W rezultacie komuniści zostali pokonani i poniósłszy ciężkie straty albo się poddali, albo jak Liebknecht i Róża Luksemburg, ukryli się przed pościgiem. Po paru dniach odszukano ich kryjówkę, a przy przewożeniu ich obojga do budynku więziennego tłum dokonał na nich krwawego samosądu.

Rząd Scheidemanna stoi dzisiaj w przymusowem położeniu. Pod naciskiem koalicyi musi Niemcy oswobodzić od wpływów bolszewickich. Nadto czuje on dobrze, że przesunięcie ideowe na lewo, o ileby zostało przezeń dokonane, umocniłoby stanowisko partyi mieszczańskich i odebrałoby mu w końcu władzę. To też bardzo energicznie przygotował stłumienie ruchu bolszewickiego w Niemczech przy pomocy wojska Na razie bolszewizm niemiecki został pokonany. Trzyma on się jeszcze w kilku miastach prowincyonalnych, ale pozbawiony głównych dowódców, nie potrafi prawdopodobnie rozwinąć się na większą skalę.



Walki w Poznańskiem: Teatr germanizatorski w Poznaniu, który obecnie objęli Polacy. (Lip. b. pras)



Walka z bolszewizmem w Niemczech: Demonstrujący w Lipsku spartakiści na rzecz rewolucyi bolszewickiej

Niemcy a koalicya.

Coraz bardziej okazuje się obecnie, że rząd niemiecki nie chce, czy nie umie spełnić ciężkich warunków zawieszenia broni, jakie mu nałożyła koalicya. Komisya rozejmu obradująca w Spaa raz po raz staje wobec nowych trudności, jakie się wyłaniają, a generał Foch dyktuje coraz to nowe, coraz trudniejsze warunki.

Koalicya w zajętych częściach Niemiec zagospodarowała się na dobre. Alzacya i Lotaryngia jest już dla Niemiec bezpowrotnie stracona, a obecnie o ile rząd niemiecki nie potrafi stłumić w kraju ruchu bolszewickiego wojska koalicyi stoją w pogotowiu, aby ruszyć na Berlin i oczyścić kraj z zarazy bolszewickiej.

Rozkład Niemiec, jaki obecnie się dokonywa, jest ostatecznem pogrzebaniem ich potęgi, przed którą do niedawna giął się cały świat. Konferencya pokojowa rozstrzygnie o ich losie, rozstrzygnie bez nich, bo reprezentanci mocarstw centralnych usłyszą swój wyrok dopiero wtedy, kiedy on już zapadnie.

Podajemy kilka illustracyi z bieżących wypadków na zachodnich kresach państwa niemieckiego.



Rozpoczęcie konferencyi pokojowej: Tłumy ludności paryskiej witają na ulicach przybywających uczestników konferencyi

Kronika tygodniowa.

Właściwie powinienbym ją nazwać dwutygodniową, gdyż tyle akurat czasu upłynęło od chwili, gdy jej poprzedniczka spłynęła na papier z kronikarskiego pióra.

A stało się to dzięki bezrobociu Panów Drukarzy, którym za ten przymusowy wypoczynek składam na tem miejscu z głębi serca odczute podziękowanie, przyrzekając solennie odwzajemnić się przy najbliższym strajku kronikarzy, jaki mam zamiar zainicyować, o ile naturalnie pani Weronika na to mi zezwolić raczy. Jeśli jednak w ten sposób upominają się inni o poprawę swego bytu, ciekawy jestem, dlaczego kronikarze mieliby pozostać w tyle, skoro i oni muszą jeść, pić i ubierać się zupełnie tak samo, jak, dajmy na to, P. T. Drukarze. A warunki, w jakich nam żyć przychodzi, bynajmniej się nie poprawiają, choć wojna światowa już się podobno skończyła i to według zapowiedzi ś. p. lorda Kitchenera, który przewidział jej koniec na rok 1918. Smialiśmy się wówczas z tego, ale dziś widzimy, że miał racyę. Żal mi bardzo, że nie doczekał spełnienia się tej przepowiedni, która, jak się dziś okazuje, była bardziej zasługującą na wiarę, niż wszystkie inne proroctwa różnych babek ze Śląska i innych podobnych wróżbitów i wróżbitek.

Gdy się wojna toczyła było źle, teraz nie jest bynajmniej lepiej. Chcąc sobie podjeść do syta, trzeba mieć krociowy majątek, to samo musi się powiedzieć, jeśli się chce okryć swe grzeszne ciało. Jako dowód niech posłuży niewinny obwarzanek, kupiony przezemnie onegdaj za koronę i dwadzieścia halerzy. Był on wprawdzie wypieczony z ciemniejszej mąki niż przedwojenny za dwa centy, ale trzeba przyznać, że miał zato w środku daleko większą dziurkę.

Powie kto może, że kronikarz jest lekkomyślny, jeśli sobie w tych ciężkich czasach pozwala na podobne zbytki, ale mi zaraz z pewnością wybaczy, jeśli mu wyznam, że był to prezent imieninowy dla mej połowicy, obchodzącej w dniu 13 stycznia uroczystość swej Patronki.

Na inny prezent, dzięki coraz pomyślniej składającym się konjunkturom, zdobyć się nie mogłem.

Spodziewaliśmy się, że nam może przyjdą z pomocą nasi najbliżsi sąsiedzi, bracia Czesi, ale nadzieje zawiodły. Mogliśmy stamtąd otrzymać cukier, kwargle, piwo i węgle. Co do cukru, to wytłumaczono nam, że się bez niego obejść możemy, mając w Boguminie (który jeszcze do nas należy..) fabrykę sucharyny, kwargli nam także nie posłano, wobec czego i piwo okazało się niepotrzebnem, gdyż ono tylko po nich smakuje. Brak węgli nie powinien chyba nikomu dokuczać, gdyż, dzięki staraniom Komisyi likwidacyjnej, obecna zima, jako przejściowa, ma być bardzo lekką i nikomu nie da się we znaki. Choć nie powinno się mówić „hop“, dopóki się nie przeskoczy!... Wszystkie zarządzenia naszych nowych władz są nadzwyczaj „przejściowe“, więc bardzo łatwo stać się może, że dopiero koniec zimy odczujemy należycie. A mamy przed sobą jeszcze prawie połowę stycznia, luty, marzec, a może i kwiecień!... A cóżby w tem zresztą było dziwnego, gdybyśmy tak w Zielone Swięta urządzili sobie saneczkami kulig na Bielany? Zima może i powinna się jeszcze upomnieć o swoje prawa, chyba, że założono znów jaką nową centralę, o czem my dotąd nie wiemy, a ta zajęła mrozy i śniegi, celem „równomiernego rozdziału ich między wszystkich potrzebujących“. Jeśli tak jest, nie miałbym nic przeciw temu, gdyby cały zapas śniegu i mrozu przyznano naszym sąsiadom.

Z drugiej jednak strony ta wiosna w styczniu nie wróży nic dobrego, przyczynia się bowiem do rozwoju, ale tylko... hiszpanki i innych chorób, na których brak narzekać nie możemy. Zwłaszcza ta neutralna hiszpanka rządzi się u nas niczem szara gęś. Życzyćby sobie należało, aby pomyślano już raz o założeniu jakiej „chorobowej centrali“, dzięki której znikną paskudne choróbska, tak, jak leki po wprowadzeniu w życie aptekarskiej. Kostusia miała przez cztery i pół roku dość chyba zajęcia *en gros* na „polu chwały“, mogłaby więc bodaj na jakiś czas ogłosić bezrobocie i wypocząć po trudach.

O ile kronikarz wejdzie w skład przyszłego sejmu polskiego, o co się stara, a ogół go zapewne poprze, na jednem z pierwszych posiedzeń postawiłby odpowiedni, należycie umotywowany wniosek.

A taki to już dziś duch czasu, że każdy i każda czuje w sobie siły na męża i żonę stanu. Dotąd byliśmy zawodowymi strategikami, po głowie nam chodziły tanki, różne odcinki, przyczółki mostowe, ognie huraganowe, zaporowe, bębniące, trąbiące itd., pływaliśmy w łodziach podwodnych, bujali w przestworzach w samolotach, obecnie zamieniliśmy się w poważnych polityków, zastanawiających się nad tem głęboko co dalej będzie?

Politykowanie to ogólna dziś choroba i to zaraźliwa, nic też dziwnego, że uległ jej i kronikarz i choć wyrzekał się zawsze polityki, kombinuje wraz z innymi i coraz żywszy bierze udział w życiu społecznem, czego następstwem, że zgłosił nawet swą kandydaturę.

A nie mógł uczynić inaczej, gdyż Weronika wyraźnie mu powiedziała:

— Jeśli swojej nie postawisz, ja zgłaszam moją!...

Chodzę więc na zgromadzenia ludowe i nieludowe, biorę udział w gorących przyjęciach miłych gości (niestety, najczęściej nawet i bez zimnej przekąski!...), a jeśli jestem dotąd cały i zdrów, to zawdzięczam tylko temu, że jeszcze nie wygłosiłem mowy kandydackiej.

Bo to u nas, trzeba wiedzieć, wolność przekonań i słowa szanuje się ogromnie. Na każdem zgromadzeniu możesz przemawiać, jeśli cię naturalnie dopuszczą do głosu, ale, broń Boże, nie odezwij się przypadkiem w innym duchu, niż większość i inicyatorowie zebrania, gdyż bardzo łatwo można się znaleźć za drzwiami, by tam dokończyć wywodów. To przypomina zupełnie opowiadania koalicyi o samostanowieniu narodów o sobie, ale z wyjątkiem.. Irlandyi i Indyi, które w grę nie wchodzą, gdyż jest ktoś, kto je w tem wyręcza i myśli o tem, by im było jak najlepiej.

Tak też dzieje się i u nas w życiu politycznem. Są niektóre, nawet i bardzo postępowe stronnictwa, które powiadają: „Możesz mówić, jak długo chcesz, ale biada ci, jeśli się odezwiesz inaczej, niż nam się podoba!...“

Wobec tego, ze względu na własne bezpieczeństwo, mowę kandydacką należy wygłaszać tylko wobec ludzi, o których się wie, że są tak usposobieni politycznie jak my, a najlepiej w czterech ścianach swojego mieszkania, choć to podobno i ściany mają uszy.

Kronikarz ma już mowę kandydacką przygotowaną, przeszła ona nawet cenzurę władzy domowej i uzyskała zatwierdzenie. Dotąd jej jednak nie wygłosił. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Nie dziś, to jutro, nie przy tych, to przy następnych wyborach. Przy tych ułowić mandat będzie trudno, gdyż w ubiegłym tygodniu było już w samym Krakowie ośm list kandydackich, a dziś jest ich z pewnością dwa razy tyle, jeśli nie więcej.

Natomiast w powitaniach brał kronikarz bardzo żywy udział. Przedewszystkiem więc witał komendanta Piłsudskiego, potem misyę amerykańską, wreszcie Paderewskiego.

Pierwsze powitanie, które nazwano „entuzyastycznem“, ograniczyło się na kilkuset kapeluszach, czapkach i chustkach (prawdopodobnie i tyleż było głów...) a złożyli się za tę liczbę delegaci „z urzędu“, drugie tyle było ciekawych. Bezstronny widz nazwie je więc cichem i skromnem, ale to może i lepiej, bo komendant podobno nie lubi zbytniej pompy i ostentacyi.

Drugie powitanie było już głośniejsze. Delegacya amerykańska przybyła do nas, aby się na miejscu przekonać, czy mamy co jeść i w co się ubrać. Było więc wskazanem, aby na jej powitanie jawili się tylko ci, którzy nie grzeszą zbytnią korpulentnością. Paskarze, dostawcy i członkowie różnych centrali byli od udziału wykluczeni. Chudych zebrało się sporo krzyczeli głośno i wiwatowali na cześć gości, a tym powiedziano, że to z głodu. W Grandzie odbyło się przyjęcie, ale bardzo skromne, jak tego powaga chwili wymaga. Amerykanie odnieśli z tego powitania jak najlepsze wrażenie, czego dowodem obietnica, że Ameryka nie zapomni o nas i nadeśle nam i papu i ubrania. Należy tylko cierpliwie czekać i przez ten czas wstrzymywać się od jedzenia i kupowania odzieży, którą potem dostanie się za półdarmo.

Owego zapowiedzianego miliarda w złocie wprawdzie ze sobą nie przywieźli, ale w każdym razie od chwili ich pobytu w Krakowie stosunki zaczynają się jakoś poprawiać widocznie. Na Rynku sprzedają już gorącą kiełbasę, wprawdzie nie amerykańską jeszcze, ani też wyborczą, ale w każdym razie kiełbasę, bo tak ten artykuł spożywczy, a właściwie jemu podobny, dawniej nazywano. To tylko dziwne, że sprzedający obrał sobie miejsce zbyt bliskie stanowisk dorożkarzy, których szeregi z dnia na dzień coraz bardziej się przerzedzają. Woźnice przechodzą w stan spoczynku, konie zamieniają się w... kiełbasę... Tak twierdzą wtajemniczeni. A jest to prawdziwie „wiejska kiełbasa“, gdyż taki koń zwykle pochodzi ze wsi.

Trzecie przyjęcie, mistrza Paderewskiego, było entuzyastycznem, a mogło się było stać prawdziwem świętem narodowem, gdyby nie staranie kogoś, komu widocznie bardzo na tem zależało, by wypadło jak najskromniej. Zatrzymano też depesze, donoszące o przyjeździe mistrza do Krakowa. W ostatniej dopiero chwili dowiedziano się o przyjeździe miłego gościa i zajęto pospiesznie przygotowaniami. Tysiące ludzi wyległo na ulice miasta, przybywającego witano gorąco i serdecznie, jak na to zasłużył swą prawdziwie obywatelską działalnością.

Takie przyjęcie może być nazwane przyjęciem. Można sobie wyobrazić, jakie byłoby ono przybrało rozmiary, gdyby nie krecia robota tych, którym nie było na rękę, bo krzyżowało ich plany i kombinacye polityczne.

I znów wylazło szydło z worka.

Są między nami ludzie, którzy mówią, że chcą mieć Polskę niezależną i dodają zarazem, że zgadzają się z góry na to, co Sejm postanowi o tem, kto ma stanąć na jej czele, ale dają na każdym kroku do zrozumienia, że jest jeszcze pewne zastrzeżenie... A ono brzmi: „Broń Boże, aby to był jednak człowiek innych, niż my, przekonań politycznych, gdyż na takiego się nie zgadzamy!“...

Tak, jak każdego z Polaków, zajął też kronikarza i warszawski zamach stanu. Pozostawił on po sobie tylko niesmak. Jeśli się przystępuje do wykonania podobnego przedsięwzięcia, powinno się czuć na siłach, by potem, tak, jak w danym wypadku, nie ściągnąć na siebie zarzutu lekkomyślności. Była to w samej rzeczy pewnego rodzaju operetka, która jednak mogła mieć bardzo tragiczne następstwa i spowodować w społeczeństwie naszem jeszcze większy rozłam i chaos. A tego nam nie brak!... Ale tak dzieje się u nas z każdem przedsięwzięciem, choćby ono miało jak najszlachetniejsze motywy: brak mu przygotowania należytego, albo ujęte jest w ręce przez ludzi, którzy do jego poprowadzenia zupełnie nie dorośli.

Efekt był z góry nie oczekiwany. Zamach stanu wzmocnił nawet na razie stanowisko tych, przeciw którym był skierowany. A tego, jak się zdaje, inicyatorowie nie mieli w planie!...

Zamachem stanu nazwać można także i zakaz sprzedawania publiczności wszelkiego rodzaju wódek. — Obowiązuje on aż do dnia 27. stycznia włącznie.

Kto ten zakaz wydał, ani rusz nie można się dowiedzieć.

Jedni są zdania, że pochodzi od rządu, który chciałby wybory przeprowadzić na trzeźwo, ale widocznie nie zdawał sobie z tego sprawy, że kiełbasa wyborcza, nie podlana należycie wódczanością, może bardzo łatwo zdrowiu zaszkodzić, a dziś ze zdrowiem igrać nie wolno.

Jeśli tak jest, to z pewnością były gabinet składał się z samych czynnych członków Eleuteryi.. (to jest takich, którzy piją tylko wtedy, gdy nikt nie widzi...) Ci panowie widocznie nie byli nigdy u Hawełki, gdzie na ścianie bufetu widnieje taki wierszyk: „Po kiełbasie napijwa się!...“ Tak było dawniej, tak powinno pozostać i nadal, boć to złota myśl, której prawdziwość stwierdzono długoletniem doświadczeniem.

Drudzy ludzie, i tym bardziej wierzą, są natomiast zdania, że cały ten zakaz to dzieło restauratorów i kawiarzy, którzy chcą w ten sposób zmusić rząd, by im zatwierdził cennik potraw i napojów, dozwalający bezkarnie drzeć skórę z bliźniego. Wiedzą zaś, że w okresie wyborów i kiełbasy wyborczej bez trunkowości obejść się nie może, nie każdego bowiem stać na to, by sobie mógł pozwolić na wino... (o piwie nawet się nie mówi, takie podłe!...)

I dlatego właśnie zakaz ten nazwałem zamachem stanu.

Ale u nas przy każdej sposobności musi coś wyleźć... Przedtem wylazło szydło z worka, teraz paskudna konkurencya.

Bo i cóż się dzieje?... Panowie szynkarze dali sobie słowo „uczciwego“ człowieka, że do zakazu się święcie zastosują i nikomu kropli wódki nie sprzedadzą, a tymczasem słyszę, że nawet ci, którzy najbardziej zabiegali o przeprowadzenie zakazu, choć na kieliszki wódki nie sprzedają, odstępują je, ale tylko z grzeczności... całemi flaszkami. Właściwie niby nie oni, ale ich personal i to tylko z życzliwości dla gospodarza, by się gość od lokalu nie odstręczył i nie poszedł przypadkowo gdzieindziej.

Znam dwie firmy, obie katolickie, jedna z nich stara i uważana za „solidną“ w całem tego słowa znaczeniu, druga młoda, która jej wyrosła pod bokiem, niczem czyrak pod pachą...

Stara firma, stosując się do złożonego zobowiązania, wódki nie sprzedaje, czem sobie zraża nawet stałych gości, młoda z tego korzysta i gasi bardzo chętnie ich pragnienie. Młody kupiec bardziej jest po chrześcijańsku usposobiony, niż stary sąsiad i stosuje się do zasady, że „pragnącego należy napoić“, zwłaszcza, że na tem najlepiej wychodzi jego kieszeń, a przy jej napełnianiu nie lubią się ludzie powodować żadnymi skrupułami.

Ale czy tak być powinno?.. Czy to ma być objawem solidarności kupców i to do tego katolickich?.. Konkurencya jest wskazana, choćby tylko ze względu na odbiorców, ale i ona musi mieć pewne granice.

Z tygodnia.

Gabinet koalicyjny Paderewskiego.

Pod naciskiem woli całego narodu gabinet pana Moraczewskiego ustąpił wreszcie, a miejsce jego zajął gabinet koalicyjny pod wodzą jedynego człowieka, który w obecnej chwili mógł ująć władzę w swe ręce, to jest Ignacego Paderewskiego.

Skład gabinetu został ustalony następującym dekretem komendanta Piłsudskiego:

Do pana Ignacego Paderewskiego w Warszawie.

Mianuję Pana prezydentem ministrów Rzpolitej polskiej i powierzam Panu kierownictwo spraw zewnętrznych.

Jednocześnie na wniosek Pana powołuję na urzędy:

Ministerstwo spraw wewnętrznych: pana Stanisława Wojciechowskiego.

Ministerstwo sprawiedliwości: pana Leona Supińskiego.

Ministerstwo przemysłu i handlu: pana Kazimierza Hącię.

Ministerstwo rolnictwa i dóbr państwowych: pana Stanisława Janickiego.

Ministerstwo pracy i opieki społecznej: pana Jerzego Iwanowskiego.

Ministerstwo poczt i telegrafów: pana Huberta Lindego (ze Lwowa).

Ministerstwo kultury i sztuki: pana Zenona Przesmyckiego.

Ministerstwo robót publicznych: pana Józefa Prucbnika.

Kierownika ministerstwa komunikacyi: pana Juliana Eberhardta.

Ministerstwo skarbu: pana Józefa Englicha.

Ministerstwo aprowizacyi: pana Antoniego Minkiewicza.

Ministerstwo zdrowia publicznego: pana Dra Tomasza Janiszewskiego (z Krakowa).

Kierownictwo ministerstwa spraw wojskowych pozostawiam bez zmiany. Reprezentować je będzie pod mojem bezpośredniem zwierzchnictwem pan pułkownik Wroczyński w radzie ministrów.

Decyzya co do powołania ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego nastąpi później.

Zaraz po objęciu władzy przez nowy gabinet ogłosił Ignacy Paderewski następujący program prac nowego rządu:

„Naczelnik państwa powołał mnie do utworzenia tymczasowego rządu polskiego i do objęcia w nim odpowiedzialnego kierownictwa. W chwilach niebezpieczeństwa nikomu od służby publicznej uchylać się nie wolno. Wezwanie najwyższej tymczasowej władzy w narodzie przyjąłem posłusznie zapewniony o poparciu wszystkich dzielnic ojczyzny. W demokratycznem państwie tylko ten rządzić może, kto narodowi posłusznym być potrafi.

Przystępuję do spełnienia ciężkiego obywatelskiego obowiązku. Stwierdzam skwapliwie, że rząd dotychczasowy ustępuje z powodów idealnej natury. W najtrudniejszych warunkach spełniał on swoje zadanie według uczucia najlepszej woli.

Nowo powstający rząd nie będzie miał zgoła charakteru stronniczego. Uproszona przezemnie do współpracy rada ministrów składa się z ludzi, którzy bądź to na urzędach zajmowanych i stanowiskach, bądź też w uprawianych zawodach wykazali wybitne zdolności i zalety. Będą oni wszyscy służyli ojczyźnie przedewszystkiem.

Pierwszem zadaniem nowego rządu będzie przeprowadzenie wyborów i zwołanie Sejmu, na którym niewątpliwie wypowie się zbiorowa wola naszego narodu. Data zwołania sejmu będzie przyspieszona. Rozpocznie się on w niedzielę dnia 9 lutego b. r.

Aczkolwiek wobec zbliżającej się daty sejmu rząd tymczasowy żadnych prac ustawodawczych podjąć się nie może, to jednakże ze względów na naglące najpilniejsze potrzeby kraju i ludności bezpośrednie jego zadania będą ważne i doniosłe.

Musi on mieć na celu:

Obronę zagrożonych granic ojczyzny i troskliwą nad żołnierzem polskim opiekę. Niesienie natychmiastowej pomocy cierpiącym masom ludu naszego, a zwłaszcza, tak okrutnie przez wojnę skrzywdzonej rzeszy robotników polskich. Sprowadzenie jak najrychlej zapasów żywności. Uruchomienie jak najszybciej warsztatów pracy przez ułatwienie sprowadzenia surowców oraz niezbędnych maszyn fabrycznych. Zaprowadzenie zdrowej gospodarki finansowej zapomocą wewnętrznej i zewnętrznej pożyczki oraz wybudowanie sprawiedliwego systemu podatkowego. Utrzymanie ładu i porządku w kraju. Objęcie opieki nad oświatowem i kulturalnem życiem narodu, albowiem ten nie chlebem tylko żyje.

Dla osiągnięcia tych celów i utrzymania ciągłości między pracami już zapoczątkowanemi a temi, które rząd przez sejm ustanowiony będzie prowadzić nadal, niezbędnem jest ustalenie naszego stosunku do zwycięzkich państw sprzymierzonych i wyraźne oświadczenie, że Rzeplita polska za ich sprzymierzeńca się uważa.

Ucisk i niewola nadwyrężyły nam organizm narodowy, długa i straszna wojna zadała mu bolesne, wciąż jeszcze jątrzące się rany. Niemasz rządu ni dotwórczego, któryby zapomocą odezw i orędzia potrafił odrazu zabliźnić te rany, przywrócić narodowi siłę. Na to potrzeba pracy, cierpliwości i czasu.

Żaden rząd nie może skutecznie sprawować władzy, dowieść gorliwej o dobro wszystkich działości bez współdziału całego społeczeństwa. Gotowi do najcięższego trudu, stawamy przed wami, prosząc wszystkie stronnictwa, wszystkich współobywateli o poparcie i pomoc dla naszych uczciwych zamierzeń i usiłowań.

Stróże porządku i bezpieczeństwa publicznego ku tym niecierpliwym, którzy za pomocą gwałtownych czynów pragnęliby dążyć do urzeczywistnienia swoich ideałów, zwracamy się z wezwaniem, aby pamiętali, że cały świat cywilizowany na nas patrzy. Każdemu prawdziwemu obywatelowi powinno zależeć na tem, aby w nas widziano ludzi godnych tej wolności, która nad polską zajaśniała ziemią.



Niemcy a koalicya: Posterunek wojsk koalicyi na moście na Renie w Strassburgu. (Lip. e. pr.)

Osoby nowych ministrów.

Nowy prezydent gabinetu, Ignacy Paderewski, urodził się 18 lutego 1860 roku w Kuryłówce na Podolu z ojca Jana i matki z domu Nowickiej, córki profesora uniwersytetu wileńskiego. Obdarzony niezwykłym talentem muzycznym, poświęcił się studyom muzyki, biorąc lekcye u najlepszych mistrzów w kraju i za granicą. Od roku 1888 rozpoczyna się jedyna w swoim rodzaju karyera artystyczna Paderewskiego, która prowadzi go od tryumfu do tryumfu przez wszystkie stolice Europy, Ameryki i Australii. Nietylko jako genialny pianista, ale też jako kompozytor wielu utworów muzycznych zyskał sobie Paderewski sławę pierwszorzędną. Opera „Manru“, wystawiona poraz pierwszy w roku 1901, przydała Paderewskiemu nowych wawrzynów do wieńca sławy. Od roku 1897 posiada Paderewski uroczą willę w Morges w Szwajcaryi, gdzie najchętniej odpoczywa po trudach artystycznych.

Wielki artysta nie zamknął się nigdy w ciasnym egotyzmie, do którego natury tego rodzaju tak często są skłonne. Paderewski, mimo, że większą część życia spędził na obczyźnie, nie zatracił ani na chwilę poczucia polskiego. Przeciwnie, objawiał przy każdej sposobności zmysł prawdziwie obywatelski i ofiarność na cele narodowe. Pięknym czynem Paderewskiego było ufundowanie w 500 rocznicę bitwy pod Grunwaldem pomnika Jagiełły w Krakowie. Najświetniej jednak zabłysła ofiarność i gotowość do pracy obywatelskiej Paderewskiego podczas wojny. Stanął on razem z ś. p. Henrykiem Sienkiewiczem na czele Komitetu Generalnego dla niesienia pomocy ofiarom wojny w Polsce i dla celów tego komitetu wyjechał do Ameryki, gdzie blask imienia jego przyczynił się do nader hojnego wsparcia funduszów komitetu. Wkrótce wypadki postawiły Paderewskiego także na czoło organizacyi narodowego ruchu wśród Polonii amerykańskiej i jako przedstawiciel Polaków w Stanach Zjednoczonych wszedł Paderewski także do Narodowego Komitetu Polskiego w Paryżu, stając tem samem w rzędzie tych, którzy tworzą najwyższą reprezentacyę interesów polskich u koalicyi. Węzły przyjaźni, łączące Paderewskiego z domem prezydenta Wilsona, nadają jego działalności szczególnie ważne znaczenie polityczne i zapewniają mu wpływ wielki na ukształtowanie losów Polski.

Z dawnego gabinetu pana Moraczewskiego pozostali na swych stanowiskach minister sprawiedliwości pan Leon Supiński, wiceminister wojny pułkownik Wroczyński i minister aprowizacyi pan A. Minkiewicz, oraz minister robót publicznych pan J. Próchnik, który wszedł niedawno do rządu, jako przedstawiciel ludowców z odłamu Stapińskiego.

Pan Stanisław Janicki, minister rolnictwa i dóbr państwowych, sprawował już za poprzednich gabinetów urząd wiceministra rolnictwa, pan J. Eberhardt, kierownik ministerstwa komunikacyi, sprawował urząd wiceministra komunikacyi. Pan Zenon Przesmycki (Miriam) minister kultury i sztuki, był w poprzednim gabinecie podsekretarzem stanu w ministerstwie kultury i sztuki.

Tekę ministra spraw wewnętrznych objął pan Stanisław Wojciechowski, znany szerokiemu ogółowi z pracy społecznej. Pan Wojciechowski był jednym z twórców i kierowników P. P. S. do roku 1905, zajmując posterunki najbardziej wysunięte i niebezpieczne; przez długie lata musiał nielegalnie przebywać w kraju. W Wilnie był redaktorem „Robotnika“, tajnie wydawanego i z tych czasów datują się jego bliskie, przyjacielskie stosunki osobiste z komendantem Piłsudskim. Od roku 1905 poświęcił pan Wojciechowski cały swój zapał i energię w organizowaniu ruchu współdzielczego w zakresie kooperatyw spożywczych.

Na zjeździe politycznym w Moskwie, który powołał do życia Radę Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego, pan Wojciechowski, zdecydowany zwolennik sojuszu z koalicyą i tworzenia armii polskiej, wybrany był na przewodniczącego Rady.

Do gabinetu wchodzi dwoch Wielkopolan: Dr. Józef Englich, minister skarbu, który już był ministrem skarbu w gabinecie Świerzyńskiego, dyrektor największej polskiej instytucyi finansowej, Banku Spół. Zarobkowych w Poznaniu, oraz Dr. Kazimierz Hącia, minister przemysłu i handlu, również znany działacz finansowy, dyrektor Banku handlowego w Poznaniu.

Ministrem zdrowia publicznego został Dr. T. Janiszewski, dawno już wymieniany jako kandydat na to stanowisko. Pan Janiszewski znany jest w całej Polsce z działalności w zakresie hygieny publicznej, najprzód jako lekarz w Zakopanem, potem jako fizyk naczelny miejski w Krakowie.

Ministeryum poczt i telegrafów obejmuje pan Hubert Linde, były naczelnik urzędu pocztowego w Tarnowie, ostatnio dyrektor Kasy oszczędności w Warszawie.

Nakładem i redakcyą: [illegible] Gibson, redaktor: [illegible]. Klisza własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie [illegible]